

## Pochwała subiektywności

Już w czasach starożytnych zdawano sobie sprawę, że polityczne i moralne przekonania historyka wpływają znacząco na kształt przedstawianej historii. W II w. n.e. Lukian wymagał od historyka, aby „opowiadał przeszłość dokładnie tak, jak się wydarzyła”, co miało oznaczać, że historyk winien spisywać dzieje jako bezstronny sędzia, unikając wszelkiej tendencyjności.<sup>1</sup> Dokładnie te same poglądy powtórzy blisko dwa tysiące lat później Ranke. Za zaleceniem, aby unikać stronniczości politycznej i moralnej, kryją się racje zbyt dobrze znane i oczywiste, aby je tutaj szczegółowo wyjaśniać.

Naszą uwagę zwraca natomiast inny, mniej oczywisty aspekt przedstawionego poglądu. Dla naszych rozważań kluczowe okażą się terminy „subiektywność” i „obiektywność”. Już w samych tych słowach zawarta jest wyraźna sugestia, że historyk zawsze powinien być „obiektywny”, ponieważ wszelka „subiektywność” z jego strony doda do „przedmiotu” badań, czyli do przeszłości, coś, co należy wyłącznie do „podmiotu”, czyli do samego historyka. Tym sposobem historyk zniekształca obraz przeszłości, wprowadzając doń elementy z natury jej obce. W takim kontekście stawiają nas pojęcia „obiektywności” i „subiektywności”.

Po bliższej obserwacji uderza nas jednak fakt, że zarzut subiektywności historyka kojarzono zawsze wyłącznie z wartościami politycznymi i moralnymi. Nasuwa się pytanie dlaczego, skoro można by dowodzić, że subiektywność historyka, czyli jego obecność we własnych pismach, może być równie dobrze spowodowana wieloma innymi czynnikami. Historyk może mieć swój ulubiony temat historyczny, swój specyficzny styl pisarski lub tok argumentacji, może należeć do konkretnej szkoły historiograficznej, lub po prostu jego dzieła mogą odzwierciedlać głupotę i brak zdolności intelektualnych.

Dlaczego zatem, powtórzmy, te i inne wyznaczniki subiektywności tak rzadko kojarzone są z problemem subiektywności historycznej? Brak dowodów na to, jakoby ślady obecności tych i innych czynników w tekstach historycznych były dalece mniej zauważalne niż oddziaływanie wartości politycznych i moralnych. Wystarczy, na przykład, otworzyć książkę napisaną dwadzieścia lat temu przez przedstawiciela szkoły Annales, aby od razu rozpoznać akademicką orientację autora, choć trudno byłoby odnaleźć w niej jakiegokolwiek ślady zaangażowania politycznego bądź moralnego. Jednak żaden zdrowy na umyśle recenzent nie skrytykuje tej książki jako „subiektywnej” tylko dlatego, że jest ona wyraźnie owocem szkoły Annales, nawet gdyby rzeczony recenzent bardzo nisko oceniał annalistów.

Jest więcej powodów do zdziwienia. Zauważmy, że jeśli ktoś utożsamia się z pewną szkołą uprawiania historii, jeśli posługuje się określonym stylem, jeśli

wyróżnia się głupotą – wszystko to w daleko mniejszym stopniu należy do badanej przez historyka przeszłości niż wyznawane przezeń wartości moralne i polityczne, które prawie zawsze są jak najściślej związane z kolejami dziejów. Wartości polityczne i moralne w dużej mierze współkształtowały nasze dzieje i stanowią one w istocie ważny element „przedmiotu” badań historyka. Tak więc w znaczeniu bliskim etymologii tego słowa, „subiektywnym” należałoby nazwać raczej annalistę, nie zaś historyka, w dziełach którego zaznaczają się wyraźnie wartości socjalistyczne bądź liberalne. Wartości polityczne i moralne posiadają pewien prawdziwie „obiektywny” wymiar, całkowicie niezwiązany z orientacją intelektualną, stylem uprawiania historii czy zwykłą ludzką głupotą.

Może zresztą właśnie *dlatego* historycy są na ogół tak bardzo przewrażliwieni na punkcie siły oddziaływania wartości politycznych i moralnych. Może intuicja podpowiada im, że oddziaływanie to stwarza dużo większe niebezpieczeństwo i że znacznie poważniej zagraża prawdzie historycznej z racji swojej *quasi-obiektywności* aniżeli inne, z pozoru bardziej „*subiektywne*”, czynniki. Inaczej rzecz ujmując, być może w wartościach politycznych i moralnych dostrzega się tak wielkie zagrożenie dla prawdy historycznej nie dlatego, że są one od niej nieskończenie *odległe* i należą do zupełnie innego świata, ale właśnie dlatego, że są zbyt *blisko* niej i że trudno te dwa światy rozdzielić. Wartości moralne i polityczne należą bardziej do świata przedmiotu niż podmiotu, a zatem historyk określany jako „subiektywny” pozostaje wierny domenie *przedmiotu* (zgodnie z wymogami obiektywizmu), nie zaś sferze własnej *podmiotowości* i osobistych doświadczeń. Innymi słowy, istota problemu może polegać na tym, że prawda historyczna przejawia się niekiedy w wartościach politycznych oraz moralnych i *vice versa*.

Powyższe założenie wytyczy kierunek mojego wyводу. Zaczę od przywołania niektórych tradycyjnych poglądów na opozycję subiektywności i obiektywności, starając się przy tym dowieść, że ujęcia te nie dostrzegają prawdziwego źródła problemu, które leży w logicznej bliskości prawdy i wartości. W konsekwencji będziemy, rzecz jasna, zmuszeni podjąć trud sprecyzowania istoty relacji między tymi dwoma pojęciami. Z racji ogromnej bliskości prawdy (historycznej) i wartości, powinniśmy poszukać jak najlepszego filozoficznego mikroskopu, przez który będzie można dokładnie zbadać współzależności między prawdą historyczną a sferą wartości.

Na koniec wyniki naszych wnikliwych obserwacji potwierdzą nasze wstępne założenia, okaże się bowiem, że „prawda” określa „wartość” i *vice versa*, nie musimy więc obawiać się wartości, tak jak nas dotychczas uczono. Wręcz przeciwnie, można śmiało wysunąć tezę, że wartość jest często przydatnym, a nawet nieodzownym przewodnikiem w naszej niełatwej wędrówce ku prawdzie historycznej.

## 1. Tradycyjne argumenty obiektywistyczne

Twierdzenie, że wbrew zaleceniom większości podręczników nie ma w gruncie rzeczy powodów, by obawiać się subiektywizmu, bywało już formułowane w przeszłości. Dobrym punktem wyjścia jest postawa Williama Walsha, według

którego nie ma nic nagannego w fakcie, że różni historycy piszą o tym samym wydarzeniu historycznym – np. o Rewolucji Francuskiej – każdy na swój własny, odmienny sposób. Wiele podręczników gotowych było upatrywać w tym powód do rozpaczliwego relatywizmu, wydawało się bowiem, że intersubiektywny opis przeszłości, z którym mogliby się zgodzić wszyscy historycy lub przynajmniej większość, jest nieosiągalnym ideałem. Walsh zauważa jednak, że konkluzja taka jest przedwczesna. O relatywizmie można by mówić dopiero wówczas, gdyby wszystkie opisy pozostawały ze sobą w sprzeczności i gdybyśmy nie dysponowali żadnymi metodami weryfikowania ich poprawności. Jednak różne proponowane opisy przykładowej Rewolucji Francuskiej nie stawiają nas w aż tak beznadziejnym położeniu, najczęściej bowiem opisy te nie wykluczają się, tylko uzupełniają. Analiza intelektualnych przyczyn Rewolucji Francuskiej może przecież współistnieć pokojowo z analizą jej przyczyn ekonomicznych. Jedynie bardzo naiwna i uproszczona koncepcja „przyczyn” podważałaby ich wzajemną zgodność. Jeśli kierowca stwierdza, że jego samochód zderzył się z innym z powodu śliskiej nawierzchni, wyjaśnienie to nie kłóci się bynajmniej z takim, że samochód jechał za szybko. A ponieważ element opisowy zwykle przeważa w relacjach historycznych nad elementem przyczynowo-skutkowym, niezgodność między różnymi relacjami jest najczęściej mało prawdopodobna. Stwierdzenie, że krzesło ma cztery nogi, nie stoi w żadnej sprzeczności ze stwierdzeniem, że zostało ono wykonane przez firmę Hepplewhite. Podobnie polityczna historia Francji w XVIII wieku nie przeczy ekonomicznej historii Francji z tego samego okresu, tylko ją uzupełnia. Możemy zgodzić się z Walshem, że ta prosta, wręcz banalna, obserwacja rozwiązuje większość problemów, które niepotrzebnie spędzają sen z oczu rzeszom historyków-relatywistów.<sup>2</sup>

Niemniej jednak Walsh przyznaje, że w niektórych wypadkach faktycznie może zachodzić niezgodność. Pozwolę sobie na marginesie zauważyć, że niełatwo znaleźć na to przekonujące przykłady, ponieważ otwarte konflikty zdarzają się w historii dziejopisarstwa zdumiewająco rzadko. Za stosowny przykład można uznać konflikt między marksistowską tezą, że Rewolucja Francuska służyła interesom burżuazji, a poglądem Alfreda Cobbana, który dowodził dwadzieścia lat temu, że miała ona charakter reakcyjny i bardziej szkodziła niż pomagała interesom kapitalistycznej burżuazji. Istotnie mamy tu do czynienia z konfliktem i bez wątpienia wynika on z faktu, że Cobban wyznaje inne wartości polityczne niż marksiści.

Jednak nawet przykład tego rodzaju nie odstrasza Walsha. Dowodzi on dalej, że nawet w tym przypadku konflikt jest tylko pozorny i straci rację bytu, kiedy zdamy sobie sprawę, że liberał mógłby zgodzić się z marksistą, gdyby tylko był gotów spojrzeć na Rewolucję Francuską w świetle wartości *marksistowskich*, natomiast marksista byłby w stanie uznać punkt widzenia Cobbana, przyjmąwszy *jego* hierarchię wartości moralnych i politycznych.

Obawiam się jednak, że większość historyków uzna ten pogląd za niemożliwie idealistyczny oraz stwierdzi, że tym sposobem historię pozbawia się możliwości wszelkiej sensownej debaty. Wystarczyłoby, że historyk przyjmie tymcza-

sowo i bezstronnie wartości swoich oponentów, a wszelkie spory znikną jak śnieg pod ciepłym dotykiem słońca. Gdyby jednak debaty i spory naprawdę można było tak łatwo z historii wyeliminować, to samo tyczyłoby się prawdy jako takiej. Bo jeśli nie ma się o co więcej spierać, poszukiwanie prawdy historycznej staje się złudzeniem i nie ma już miejsca na prawdę. Nie można przecież szukać białej rzeczy w świecie, gdzie wszystko jest białe.

W drugiej części wywodu Walsh'a uwidacznia się wspomniana przed chwilą skłonność do tak pełnego oddzielenia prawdy od wartości, że nigdy nie wejda one w prawdziwy konflikt. Zgodziłbym się teraz z przekonaniem historyka, że byłoby to nad wyraz uproszczone i naiwne rozumienie roli wartości w pismach historycznych – chociaż muszę przyznać, że na tym etapie nie jestem jeszcze w stanie odpowiednio uzasadnić tego przekonania. Stanie się to możliwe dopiero po wykazaniu, jak ścisła więź łączy prawdę i wartość w literaturze historycznej.

To nieco wykrętne rozwiązanie problemu subiektywności historycznej poprzez skrajną polaryzację wartości i prawdy przypomina słynne rozróżnienie między przyczyną (lub pobudką) a powodem (lub racją). Zgodnie z tą strategią należy zawsze wyraźnie rozróżniać, z jakich *pobudek* ktoś reprezentuje dany pogląd (np. w rezultacie swoich przekonań moralnych), jakie natomiast są racjonalne powody albo *racje*, które osoba ta może przytoczyć (o ile, oczywiście, takowe posiada) na poparcie swojego poglądu. A ponieważ te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, to nawet jeśli pewne wartości polityczne lub moralne skłaniają ludzi do takich a nie innych przekonań, fakt ten nie przesądza o słuszności bądź niesłuszności tychże przekonań. Trzydzieści lat temu, dajmy na to, ktoś mógł uważać, że w maoistycznych Chinach panuje okropny zamęt, ponieważ tak dyktowały mu jego konserwatywne wartości, tym niemniej pogląd ten był całkowicie słuszny. A zatem nawet wtedy, gdy potrafimy wyjaśnić, skąd u ludzi biorą się określone przekonania, mogą one być stuprocentowo zgodne z prawdą i w pełni odpowiadać rzeczywistości. Jak zwięźle ujął to Arthur Danto, „wielce szkodliwe jest przeświadczenie, że podważyliśmy jakiś pogląd wyjaśniony, dlaczego ktoś się z nim utożsamia”.<sup>3</sup>

Z całą pewnością jest to bardzo skuteczna metoda rozpracowania problemu subiektywności, jednak w praktyce – tak jak większość ostatecznych rozwiązań tego typu – okazuje się ona aż nazbyt skuteczna. Jak bowiem przyzna każdy historyk, filozoficznie wyrafinowane i jakże przekonujące rozróżnienie między pobudką a racją po prostu nie sprawdza się w praktyce. W autentycznych debatach historycznych nie sposób podzielić argumentów za lub przeciwko pewnym opiniom na temat danego wycinka przeszłości na te, które należą do sfery wartości moralno-politycznych oraz te, które należą do dziedziny faktu i racjonalnego uzasadnienia. To, co dla jednego historyka ma cechy obiektywnej prawdy, innemu może jawić się jako sąd wartościujący. Jak widzimy, podobnie jak w przypadku argumentu Walsh'a, najsłabszą stroną strategii oddzielania racji od pobudek jest możliwość przeoczenia faktycznej zbieżności pomiędzy prawdą historyczną a wartościami politycznymi i moralnymi.

## 2. Reprezentacja historyczna

Aby dokładniej zbadać powiązania między prawdą historyczną z jednej strony, a wartościami politycznymi i moralnymi z drugiej, należy zacząć od kilku uwag ogólnych dotyczących natury reprezentacji historycznej. Celowo używam tutaj wyrażenia „reprezentacja historyczna” zamiast wyrażen alternatywnych, takich jak „interpretacja historyczna”, „opis”, „wyjaśnienie”, „opowieść historyczna” itp. Jak bowiem przekonamy się za chwilę, tajemniczą naturę historiografii można zgłębić jedynie wtedy, gdy postrzegamy tekst historyczny jako *reprezentację* przeszłości, tak jak dzieło sztuki reprezentuje pewien wycinek rzeczywistości, podobnie zresztą jak Parlament czy Kongres reprezentuje swój elektorat.

Obecnie najszerszej uznawaną teorią reprezentacji estetycznej jest tzw. „teoria reprezentacji przez zastąpienie”, która zakłada – zgodnie zresztą z etymologią słowa „reprezentacja” – że reprezentacja polega zasadniczo na zastąpieniu tego, co nieobecne.<sup>4</sup> Właśnie z powodu „nieobecności” danego przedmiotu potrzebujemy substytutu, który go „u-obecni” (łac. *re-presentare*). Posłużmy się przykładem rozslawionym przez Ernsta Gombricha, jednego z najwybitniejszych zwolenników teorii zastąpienia: koń na biegunach jest dla dziecka reprezentacją prawdziwego konia, ponieważ w jego oczach zastępuje (jest substytutem) prawdziwego konia. Analogicznie rzecz biorąc, ponieważ przeszłość jest przeszła – a więc nieobecna w teraźniejszości – potrzebujemy jej reprezentacji. Dziedzina nauki zwana historią istnieje po to, abyśmy mogli korzystać z tych reprezentacji przeszłości, które najlepiej spełniają funkcję tekstowych substytutów prawdziwej, choć nieobecnej, przeszłości.

Takie ujęcie reprezentacji estetycznej i historycznej implikuje pewną jej cechę, która zasługuje na naszą szczególną uwagę w kontekście bieżących rozważań, a mianowicie reprezentacja dąży do tego, by w pewnym sensie dorównać oryginałowi, który zastępuje. Ściślej mówiąc, reprezentacja usiłuje przede wszystkim tak wiarygodnie i skutecznie zastąpić oryginał, żeby można było zignorować różnice między przedmiotem reprezentacji a samą reprezentacją. Jednak różnice *są* i zawsze *będą*, bowiem – jak dowcipnie podsumowała istotę reprezentacji artystycznej Virginia Woolf – „sztuka nie jest kopią świata, jeden przeklęty świat w zupełności wystarczy”. Paradoks reprezentacji polega więc na tym, że łącząca ją w sobie niechęć do różnicy z jej umiłowaniem. Żeby go rozwiązać, trzeba dostrzec logiczny związek między pojęciami reprezentacji i tożsamości: podobnie jak reprezentacja, tożsamość usiłuje pogodzić jakoś „to-samo” z „różnym” (bo zmiennym w czasie) – i na tym właśnie polega jej funkcja.<sup>5</sup>

Z rozważań tych wypływają trzy wnioski. Po pierwsze, mimo iż do reprezentacji rzeczywistości można używać języka (jak to się zwykle dzieje w tekstach historycznych), przeciwstawienie oryginału i reprezentacji nie jest bynajmniej równoznaczne z przeciwstawieniem rzeczywistości i języka. Szczególnie gdy idzie o dzieła sztuki, reprezentację polityczną bądź reprezentację w sensie prawnym – w tym przypadku status ontologiczny przedmiotu i reprezentacji jest identyczny, ponieważ i jedno, i drugie należy do świata, bezsprzecznie wchodzi w skład in-

wentarza rzeczywistości. Jak wykazałem już w innym miejscu, język reprezentujący rzeczywistość historyczną także nabiera cech logicznych, które normalnie przypisujemy rzeczom (w rzeczywistości obiektywnej) i wykluczamy z języka używanego do orzekania prawdziwych zdań o rzeczach.<sup>6</sup> Jeśli zatem tradycyjnie definiujemy epistemologię jako dział filozofii badający relacje między językiem poznawczym a rzeczywistością, nie możemy oczekiwać, że powie nam ona coś istotnego o związku między przedmiotem a reprezentacją. Epistemologia wiąże *słowa z rzeczami*, natomiast reprezentacja wiąże *rzeczy z rzeczami*. Wynika stąd, że teoretycy historii usiłujący wypracować taki model *epistemologii historycznej*, który miałby pokazać, jak narracja historyczna ma się do rzeczywistości historycznej, są niczym filistrzy oceniający wartość artystyczną dzieła w kategoriach fotograficznej dokładności. W obydwu wypadkach takie zalety, jak trafność czy doniosłość poświęca się na rzecz precyzji i dokładności. Historii nie można pojmować wyłącznie w oparciu o założenia kognitywistyczne, choć niewątpliwie zawsze będą one odgrywały pewną rolę w opisach przeszłości. Kognitywizm z całą pewnością oferuje nam wgląd w niektóre czynności umysłowe historyka, lecz istoty tych czynności nie da się sprowadzić wyłącznie do kognitywizmu.

Po drugie, i najważniejsze, umiemy wyjaśnić, dlaczego reprezentacja tak słabo zaspokaja poznawczą żądzę epistemologa. Jak wykazał Arthur Danto,<sup>7</sup> kluczem do odpowiedzi jest spostrzeżenie, że reprezentowany przedmiot zostaje powołany do bytu – czy też, ściślej mówiąc, nabiera konturów – dzięki swojej reprezentacji. Pomocny może okazać się przykład z dziejopisarstwa. Załóżmy, że historyk opisuje historię ruchu robotniczego. Wyrażenie „historia ruchu robotniczego” sugeruje, że jednym z jednoznacznie definiowalnych elementów rzeczywistości historycznej (podobnie jak Karl Marks czy Fryderyk Engels) jest coś, co można określić mianem „ruch robotniczy” i czego historię – jakkolwiek skomplikowaną w czasie i przestrzeni – możemy prześledzić i opisać. Ponadto, zgodnie z tym poglądem, jeżeli wśród historyków nie ma zgodności co do dziejów ruchu robotniczego, mogą oni na szczęście rozstrzygnąć spór badając jego ścieżki w czasie i przestrzeni, co pozwoli ustalić, po czyjej stronie leży racja. Nasuwa się jednak pytanie, czym dokładnie *jest* ów ruch robotniczy, którego historię pragnie opisać historyk. W przypadku postaci historycznych, np. Marksa, odpowiedź jest dość prosta. Ale czym *dokładnie* jest ta część rzeczywistości historycznej, do której ma się odnosić wyrażenie „ruch robotniczy”?

W przypadku Marksa mamy do czynienia z *konkretnym człowiekiem*, który żył w latach 1818 – 1883, ale również z *historiami* napisanymi na jego temat przez takich historyków, jak Franz Mehring czy Isaiah Berlin. Tymczasem rozważając kwestię ruchu robotniczego, odkrywamy ku naszemu zdziwieniu, że wszelkie próby ustalenia, czym *jest* albo *był* ruch robotniczy i do czego miałoby *odnosić się* to wyrażenie, są w istocie tożsame z dysputami dotyczącymi jego *historii*. Spory o istotę ruchu robotniczego rozstrzygane będą w oparciu o opisy jego historii, które z kolei będą go konstytuować. Przedmiot reprezentacji zdaje się w tym przypadku pokrywać ze swoimi historiami (tj. reprezentacjami), jak pouczali nas już

tacy dziewiętnastowieczni przedstawiciele historycyzmu, jak Ranke i Humboldt.<sup>8</sup> Tym właśnie zjawiska takie jak ruch robotniczy różnią się zasadniczo od mniej kontrowersyjnych bytów historycznych, takich jak Karl Marks czy Fryderyk Engels. Musimy więc uznać, że istnieją dwa rodzaje bytów historycznych: te, które można z łatwością zidentyfikować bez odwoływania się do ich historii – takie jak Karl Marx – oraz te, które można zidentyfikować jedynie na podstawie dostępnych nam historii czy reprezentacji historycznych. O tej drugiej kategorii „reprezentowalnych” bytów przeszłych możemy istotnie powiedzieć, że w oderwaniu od proponowanych reprezentacji są całkowicie pozbawione konturów. Nie ma rzeczy bez reprezentacji – zupełnie inaczej niż w przypadku języka poznawczego, gdzie rzeczy istnieją niezależnie od prawdziwych zdań, jakie możemy o nich orzec.

W tym miejscu można by wysunąć zarzut, że powyższa obserwacja odnosi się wyłącznie do reprezentacji historycznej i nie ma nic wspólnego z artystyczną, malarską reprezentacją rzeczywistości. Pomyślmy, na przykład, o malarstwie portretowym. Czyż przedmiot reprezentacji – model – nie jest nam pierwotnie dany, a dopiero później może powstać jego portret, czyli reprezentacja? Zarzut ten nie oddaje sprawiedliwości trudnej sztuce portretowej, ponieważ utożsamia przedmiot reprezentacji wyłącznie z tymi cechami fizycznymi modelu, które oddać może dobra, wyraźna fotografia. Przypomnijmy sobie jednak słynny portret Karola V namalowany przez Tycjana: nie fotograficzna dokładność każe nam podziwiać tę podobiznę Cesarza, lecz mistrzostwo, z jakim portret przedstawia jego osobowość oraz stan ducha po długiej i wyczerpującej walce politycznej. Ta cecha Cesarza nie jest bynajmniej bezdyskusyjnie oczywista, ale równie nieuchwytna i trudna do zdefiniowania, jak te cechy rzeczywistości historycznej, które próbuje ukazać w swojej relacji historyk ruchu robotniczego. Z tej perspektywy przedmiot reprezentacji w malarstwie portretowym jest nie mniej uzależniony od sposobu przedstawienia niż przeszłość odmalowywana przez historyka.

Innymi słowy, wygląd zewnętrzny modelu portretowego – tak jak oddaje go fotografia – stanowi zaledwie, by tak rzec, „cień”, abstrakt skonstruowany ze wszystkich „cech reprezentowanych” odpowiadających konkretnym reprezentacjom modelu stworzonym przez jego portrecistów (a nawet przez wszystkie te osoby z jego otoczenia, które znają go wystarczająco dobrze, aby wyrobić sobie na jego temat określone zdanie). Nazbyt łatwo ulegamy groźnemu złudzeniu o obiektywności tzw. „obiektywnej rzeczywistości”, jako że reprezentacje mają w istocie rzeczy charakter fundamentalny, podczas gdy przedmioty „obiektywnej rzeczywistości” to zaledwie zredukowane abstrakty konkretnych reprezentacji. Z tego względu – podobnie jak w narracji historycznej – reprezentacja wizualna i jej przedmiot są od siebie logicznie uzależnione i zawdzięczają sobie wzajem swoje istnienie.<sup>9</sup>

Wreszcie po trzecie, dokładność – rozumiana jako ścisła odpowiedniość słów i rzeczy – pozostanie na zawsze nieosiągalna w reprezentacji artystycznej, w historiografii czy – skoro już o tym mowa – w politycznej reprezentacji elektoratu w rządach państwa. Aby osiągnąć taką dokładność, musielibyśmy mieć do dyspo-

zycji jakieś ogólnie przyjęte kryteria lub metody, które pokazałyby nam, jakie relacje łączą lub powinny łączyć słowa z rzeczami. Jednak takie epistemologiczne kryteria czy metody zwykle nie mają zastosowania do reprezentacji. W najlepszym razie każdą reprezentację można traktować jako *propozycję* takiej ogólnej reguły – do tej kwestii powrócę jeszcze w następnej części. Nie należy jednak upatrywać w tym szczególnej wady reprezentacji w porównaniu z sytuacją, w której kryteria takie są dostępne, np. w przypadku pojedynczych zdań prawdziwych typu „kot leży na macie”, bowiem to właśnie brak kryteriów epistemologicznych czyni reprezentację tak przydatną, a wręcz nieodzowną. Tutaj wciąż jeszcze mamy *wolność wyboru* owych kryteriów, które później należy konsekwentnie stosować, ponieważ znacząca i skuteczna komunikacja wymaga ścisłych reguł. Innymi słowy, reprezentacja oferuje nam język, by tak rzec, w naturalnym, przed-uspołecznionym stanie; język reprezentacji pozostaje zasadniczo językiem „prywatnym”. To też wszyscy ci XVIII-wieczni filozofowie, z Rousseau na czele, którzy tak gorliwie interesowali się pochodzeniem języka, powinni byli skupić się raczej na reprezentującej, a nie uspołeczniającej funkcji języka, ponieważ z logicznego punktu widzenia ta druga następuje po tej pierwszej.

A zatem nieokreśloność relacji między słowem i przedmiotem nie jest wadą, lecz największą zaletą wszelkich reprezentacji językowych. Ci historycy, którym w ich własnej dziedzinie przeszkadza brak precyzji, okazują względem niej nieufność spowodowaną tym, co w istocie stanowi jej największą wartość i najciekawsze wyzwanie. Tutaj bowiem język dopiero się rodzi, wyłania się z tego, co językiem *jeszcze nie jest*.

### 3. Narracja a dyskurs poznawczy i normatywny

W poprzedniej części omówiliśmy niektóre logiczne właściwości reprezentacji w ogóle, po czym odnieśliśmy nasze wnioski do historycznej reprezentacji przeszłości. Innymi słowy, przeszliśmy od niekoniecznie językowego wariantu reprezentacji do wariantu wyłącznie językowego. Należy przy tym zauważyć, że strategia ta pozwoli nam przypisać językowi narracji właściwości, które niekoniecznie wiążą się z językiem jako takim. W takim ujęciu język (narracji) jest jednym z wielu wariantów reprezentacji rzeczywistości. Nie odwołujemy się więc do zaobserwowanych wcześniej właściwości języka, żeby dowiedzieć się czegoś o narracji bądź reprezentacji językowej; wręcz przeciwnie, wgląd w istotę reprezentacji jest dla nas punktem wyjścia do wyjaśnienia (narracyjnego zastosowania) języka. Język jest tu, by się tak wyrazić, zmienną zależną, nie zaś początkiem i źródłem wszelkiej wiedzy filozoficznej, jak postuluje niemal cała XX-wieczna filozofia.

Powyższe przemyślenia dobrze podsumowuje następujący paradoks. Z jednej strony nie istnieją żadne niezależne kryteria, według których można by było uzasadnić, wyjaśnić lub zweryfikować związek łączący reprezentowany byt i jego reprezentację. Mamy więc do czynienia z nieokreślonością relacji język–rzeczywistość, w przeciwieństwie do tych przypadków użycia języka, którymi zwykle

zajmowali się epistemologowie. Z drugiej jednak strony, relacja między językiem a światem jest w przypadku reprezentacji daleko bardziej intymna i bezpośrednia, jako że historyk jak najstaranniej obmyślił i opracował daną narrację, żeby możliwie przekonująco zrelacjonować reprezentowany wycinek przeszłości. Tak więc język mogą łączyć ze światem relacje dwojakiego typu, przy czym słabość jednej z nich jest siłą drugiej. Silną stroną reprezentacji jest jej ściśle powiązanie wyłącznie z jednym przedmiotem, natomiast jej słabą stroną – brak formalnych metod epistemologicznych, które pozwoliłyby uzasadnić ten jedyny w swoim rodzaju związek oraz dowiodły, że on właśnie jest najwłaściwszy. Z kolei związek między pojedynczym zdaniem prawdziwym a rzeczywistością jest o tyle „słaby”, że istnieje wiele innych zdań prawdziwych, które mogą powiązać język z danym elementem bądź aspektem rzeczywistości, a „mocny” o tyle, że formalne kryteria epistemologiczne pozwolą skutecznie zdecydować o prawdziwości bądź fałszywości tych zdań. Albo więc docieramy do sedna rzeczywistości przez reprezentację, narażając się nieuchronnie na niejasność i brak precyzji, albo też poświęcamy trafność i przenikiwość na rzecz precyzji i dokładności prawdziwego twierdzenia. Nasze wypowiedzi zawsze będą oscylować między tymi dwoma skrajnościami i nigdy nie uda nam się połączyć trafności z precyzją, przenikliwości z dokładnością – taki już nasz los jako użytkowników języka.

Nakreśloną wyżej różnicę między reprezentacją a zdaniem prawdziwym można również opisać jako różnicę między propozycją a regułą. Rozważmy: możemy zaproponować pewien sposób postępowania w określonych okolicznościach i choćby nawet nasza propozycja była świetnie dostosowana do specyfiki tychże okoliczności, zawsze można będzie wysunąć alternatywne propozycje. W tym sensie propozycje – podobnie jak reprezentacje – charakteryzuje szczególna kombinacja swoistości bądź wyjątkowości z tolerancją dla innych rozwiązań. Ta wspólna cecha pozwala nam traktować historyczne reprezentacje danego wycinka przeszłości jako pewne *propozycje* konstruktywów językowych najlepiej – zdaniem danego autora – dopasowane do omawianego wycinka dziejów. Inni historycy mogą się z tą propozycją nie zgodzić i zaproponować w zamian inne sposoby powiązania języka z danym fragmentem rzeczywistości historycznej. Jednak żadnej z proponowanych reprezentacji przeszłości nie da się uzasadnić przez odwołanie do jednej ogólnej reguły, która mówiłaby, jak należy łączyć język z rzeczywistością. Ale życie lubi się powtarzać i sytuacje zmuszające nas do myślenia i działania są często na tyle podobne, że możemy sobie pozwolić na uogólnienia. I tak propozycję, którą wysunęliśmy przy innej okazji, można uznać za odpowiednią dla innych, podobnych, okazji. Tym sposobem pewna *propozycja*, początkowo przeznaczona dla jednej szczególnej sytuacji, może stać się ogólną *regułą* dla określonego rodzaju sytuacji. Reprezentacja zostaje wówczas sprowadzona do poziomu użycia języka, którym zajmuje się epistemologia – o tyle, o ile nauka ta stawia sobie za cel formułowanie ogólnych reguł określających związki między słowami i rzeczami.

W tym miejscu nasuwają się dwie istotne uwagi. Po pierwsze, w świetle teorii reprezentacji odkrywamy, że próby sformułowania ogólnych zasad opisujących

relacje między słowami i rzeczami mogą mieć dwojaki charakter: mogą się one skupiać albo na istocie samej relacji, albo na ogólnych prawdach dotyczących rzeczy, które są tą relacją związane. Jeśli bowiem  $x$  pozostaje w relacji  $R$  do  $y$ , to analiza  $R$  nie musi wcale pokrywać się z dociekaniem, co sprawia, że  $x$  i  $y$  pozostają ze sobą w relacji  $R$ . Ten pierwszy kierunek rozważań jest względem  $R$ , by tak rzec, *wewnętrzny*, drugi zaś – *zewnątrzny*. Można też powiedzieć, że estetyka – pojęta jako ogólna teoria *reprezentacji* – koncentruje się głównie na wewnętrznych aspektach tego związku, natomiast epistemologia – jako ogólna teoria dotycząca *relacji rzeczy i słów* – interesuje się prawie wyłącznie jego aspektami zewnętrznymi. Odwieczna krótkowzroczność epistemologii polega na przekonaniu, że jedynie ten drugi rodzaj poszukiwań może pogłębić nasze rozumienie związku między językiem a światem.

Druga, jeszcze ważniejsza uwaga dotyczy *logicznej hierarchii* pomiędzy tymi dwoma ujęciami relacji słów i rzeczy. Rozpatrując tę kwestię należy zauważyć, że najpierw konieczne są *propozycje* co do sposobu powiązania słów i rzeczy, po to by mogły się z nich potem wykrystalizować *reguły* opisujące owe związki. Można więc dojść do wniosku, że z logicznego punktu widzenia reprezentacja poprzedza prawdziwe twierdzenie, czyli – inaczej mówiąc – estetyka poprzedza epistemologię i jedynie na tle estetyki możemy rozróżnić, co w epistemologii jest wartościowe, a co nie. Możemy zatem zgodzić się z postmodernistycznym atakiem na epistemologię, zainicjowanym dwadzieścia lat temu przez Richarda Rorty’ego w książce *Philosophy and the Mirror of Nature*, jednak z tym istotnym zastrzeżeniem, że naszym przewodnikiem w tym ataku powinna być estetyka, czyli teoria reprezentacji, która nam pokaże, po pierwsze, co wyprzedza epistemologię, a po drugie, co z epistemologii można zachować (lub o co należy ją uzupełnić), kiedy już nauczymy się ją postrzegać jako pochodną reprezentacji.

Ta ostatnia obserwacja jest tym ważniejsza, że dotyczy również dyskursu etycznego. Etyka usiłuje wypracować ogólne *reguły* postępowania w pewnych określonych okolicznościach. Zazwyczaj dyskurs etyczny ma postać twierdzeń w rodzaju „w sytuacji typu  $S$ , powinno się podjąć działanie typu  $DZ$ ”. Na tym polega różnica między dyskursem etycznym i politycznym: decyzje polityczne dotyczą zwykle spraw, dla których nie istnieją jak dotąd żadne ogólne reguły. W tym sensie, jak to się często podkreśla, między historią i polityką istnieje bardzo bliski i bezpośredni związek, a pojęcie propozycji może pomóc nam w wyjaśnieniu tego związku. Historyk proponuje nam najlepsze, jego zdaniem, ujęcie danego fragmentu przeszłości, natomiast polityk czyni dokładnie to samo w odniesieniu do pewnego aspektu współczesnej rzeczywistości politycznej, sugerując jednocześnie stosowne działanie. Propozycje takie mogą później zaowocować ogólnymi regułami określającymi stosunek języka do słów albo sposób postępowania w pewnych okolicznościach, jednak żadne ogólne reguły nie są z góry założone.

Możemy wreszcie docenić wielką przenikliwość Machiavellego, który bardzo dobitnie przeciwstawiał politykę etyce i ostrzegał nas przed powszechnym dziś błędem nakazującym wywodzić politykę od etyki. Jeśli bowiem istnieje między

nimi jakiś związek, to jest on dokładnie odwrotny.<sup>10</sup> Podobnie jak reprezentacja może w końcu przekształcić się w skodyfikowane reguły epistemologiczne wyznaczające relacje między rzeczami i słowami, tak decyzje polityczne nie powinny opierać się na wskazaniach etycznych, ale raczej doświadczenie polityczne może w końcu przybrać postać skodyfikowanych reguł etycznych. Z całą pewnością istnieje ciekawy historyczny związek między pochodzeniem i roszczeniami epistemologii z jednej oraz etyki z drugiej strony, jako że obydwie te dziedziny powstały wkrótce po tym, jak Kartezjusz odizolował podmiot od całej złożoności świata realnego i przeniósł go do cichego sanktuarium *forum internum*, zadając przy tym śmiertelny cios arystotelowskiemu światopoglądowi podzielanemu jeszcze przez Machiavellego i współczesnych mu humanistów. Odtąd ów kartezjański podmiot uważany był za źródło zarówno wszelkiej prawdziwej wiedzy o świecie, jak i ścisłej nauki o moralności, co uwidacznia się wyraźnie w strukturze dwóch pierwszych *Krytyk* Kanta. Po oddzieleniu makiawelskiej jednostki od złożonych realiów życia społeczno-politycznego i umieszczeniu jej w poznawczym i normatywnym *forum internum*, historia i polityka zostały nieuchronnie zdegradowane do statusu skażonych i niepewnych pochodnych epistemologii i moralistyki, mimo iż z logicznego punktu widzenia należało raczej uznać ich pierwszeństwo względem tych ostatnich.

Tym sposobem przez większą część intelektualnej historii Zachodu losy dyskursu poznawczego i moralnego pozostawały ze sobą w ścisłym związku, podczas gdy historia i polityka przez kilka ostatnich stuleci musiały drogo płacić za triumfy swoich rywali.

#### 4. Prawda i wartość w dziejopisarstwie

W świetle powyższych rozważań możemy pokusić się o wstępne wyjaśnienie związku między faktem a wartością w narracyjnej reprezentacji przeszłości (w kolejnej części dokonamy niezbędnej korekty naszych tez). Jak stwierdziliśmy powyżej, reprezentację należy rozumieć jako propozycję najlepszego (tekstowego) substytutu danego fragmentu przeszłości. Zgodnie z teorią reprezentacji Gombricha, do rozstrzygnięcia pozostaje jeszcze zasadnicza kwestia, co może najlepiej spełniać funkcję takiego substytutu. Rozwiązanie zależeć będzie w dużej mierze (o ile nie w pełni) od okoliczności, w których przyjdzie nam tę kwestię rozważać. Daną propozycję można odpowiednio ocenić jedynie z uwzględnieniem szczególnych okoliczności, których dotyczy. Propozycja, żeby rozłożyć parasol, ma oczywisty sens w czasie deszczu, i w równie oczywisty sposób mija się z celem, kiedy świeci słońce. Wiąże się z tym jedno istotne spostrzeżenie: w przeciwieństwie do twierdzeń, propozycje nie mogą być „prawdziwe” albo „fałszywe”; propozycja, żeby rozłożyć parasol w pełnym słońcu jest – zależnie od doboru przymiotnika – „głupia”, „absurdalna” czy „niestosowna”, ale nie można jej raczej nazwać „fałszywą”. Tym niemniej fakt, że propozycje nie mogą być „prawdziwe” albo „fałszywe”, w najmniejszym stopniu nie wyklucza możliwości racjonalnej dyskusji nad ich zaletami. Skoro zatem narracyjne reprezentacje przeszłości są, z logiczne-

go punktu widzenia, propozycjami, nie wykraczają przez to wcale poza domenę racjonalnej debaty. Wręcz przeciwnie.

W dyskusji nad racjonalnością reprezentacji narracyjnych historyk powinien zwrócić szczególną uwagę na dwa rodzaje okoliczności. Przede wszystkim, proponowany przez historyka opis przeszłości należy skonfrontować z innymi, konkurencyjnymi opisami historycznymi, które powstały w tym samym celu lub które zarysowują się z grubsza w oparciu o już istniejącą wiedzę o przeszłości. W tym wypadku „okoliczności”, w jakich historyk wysuwa swoje propozycje, sprowadzają się do obecnego stanu badań w literaturze fachowej na dany temat. Rzecz jasna, oceniając reprezentacje historyczne z perspektywy tego rodzaju okoliczności, nie musimy brać pod uwagę względów normatywnych, etycznych czy politycznych. Na przykład debata nad wpływem państwowości Holandii na bujny rozwój gospodarczy i polityczny Republiki Holenderskiej w XVII w. nie musi wcale odwoływać się do norm moralnych czy politycznych historyka.

Kiedy indziej jednak omawiane okoliczności mogą ponadto obejmować socio-polityczne realia świata, w którym żyje sam historyk. Nie sposób, na przykład, oddzielić debaty nad totalitaryzmem w okresie zimnej wojny i proponowanych przez historyków ujęć tego smutnego zjawiska od ówczesnego konfliktu na linii Wschód–Zachód. Nie tylko dlatego, że trudno byłoby wytyczyć wyraźną granicę pomiędzy czysto historycznym a politycznym wymiarem tej debaty, ale również dlatego, że propozycje te miały być już w samym zamierzeniu zarówno opisem historycznym, jak i sugestią co do orientacji politycznej. Jeszcze wymowniejszy jest przykład Holocaustu, którego historie nie spełniałyby, rzecz jasna, podstawowych wymogów taktu i poprawności, gdyby miały ściśle przestrzegać zasad pełnej neutralności i bezstronności moralnej wobec niewyobrażalnego okrucieństwa wymierzonego przeciwko Żydom.<sup>11</sup>

Zgodzimy się, że wyraźne rozgraniczenie tych dwóch rodzajów okoliczności, w jakich historyk formułuje swoje wizje przeszłości, jest w codziennej praktyce dziejopisarskiej niezwykle trudne. Większość – jeśli nie całość – piśmiennictwa historycznego plasuje się na przecięciu jednego i drugiego zbioru okoliczności. Co więcej, niemal każda poszczególna praca historyczna poruszać się będzie między tymi dwoma zbiorami na różnych etapach argumentacji. Wspomniana przed chwilą historia XVII-wiecznej Republiki Holenderskiej może tu i ówdzie sugerować – *implicité* bądź *explicité* – filozofię polityczną wyznaczającą relacje między państwem a ogółem obywateli, natomiast historia Holocaustu zawsze wymagać będzie solidnych podstaw w postaci badań archiwalnych. A zatem nawet w sytuacjach skrajnych, opisanych w poprzednim akapicie, mamy tak naprawdę do czynienia z mieszaniną faktów i wartości, a wszelkie próby ich całkowitego rozdzielania są nierealistyczne, ponieważ żaden historyk nie jest w stanie odizolować się w pełni od jednego bądź drugiego rodzaju okoliczności. Przekonanie, że takie rozgraniczenie jest możliwe, opiera się na naszym posthume'owskim i postkantowskim założeniu, że fakt i wartość to dwie logicznie różne domeny, nie zaś na realnych doświadczeniach dziejopisarstwa (żeby nie rzec – ludzkiego życia).

Ciągłość między faktem i wartością znajduje swoje teoretyczne uzasadnienie w następującym rozumowaniu. Nawet gdy relacja historyczna zawiera wyłącznie prawdziwe twierdzenia o przeszłości, mogą one być dobrane i uporządkowane w sposób jednoznacznie sugerujący pewną (polityczną) linię działania. Może się, na przykład, zdarzyć, że z czysto faktograficznego punktu widzenia nie mamy nic do zarzucenia XIX-wiecznej historiografii nacjonalistycznej, jednak we współczesnych debatach politycznych mogła ona służyć jako historyczne usprawiedliwienie ekspansjonizmu. Tym sposobem reprezentacja historyczna oferuje nam poszukiwany od dawna *trait d'union* między bytem a powinnością. Wychodzimy od zbioru prawdziwych twierdzeń, aby następnie przejść gładko i niezauważalnie do odpowiedzi na pytanie, jak postępować w przyszłości. Być może traktowanie bytu i powinności rozłącznie ma sens jedynie w kontekście dociekań, jak należy postępować w sytuacjach *danego typu*, ale gdy mamy do czynienia z prawdziwym kontekstem historycznym, natychmiast zaznacza się ciągłość między faktem a wartością, natomiast rozróżnienie bytu i powinności staje się sztucznym, iluzorycznym konstruktem myślowym.

Rozważania te mogą pomóc w odpowiedzi na pytanie, dlaczego w praktyce dziejopisarskiej prawda i wartość tak nieskończenie zbliżają się ku sobie – jak zauważyliśmy już na początku tego eseju. Możemy też uznać, że wszystkie tradycyjne, dobrze znane obawy upatrujące w historyku bezbronną ofiarę norm moralnych i politycznych są w gruncie rzeczy uzasadnione. Skoro bowiem istnieje ciągłość między faktem i wartością, skoro tak bardzo zbliżają się one do siebie, a nawet wzajemnie przenikają, tak iż nie sposób w końcu odróżnić, czy mamy do czynienia z faktem, czy z wartością, gdzie powinien szukać ratunku historyk, aby skutecznie przeciwstawić się politycznym i moralnym przesądom swoich czasów?

Jak przekonamy się w dalszej części tego eseju, nie ma powodów do rozpaczki nad racjonalnością dziejopisarstwa i debaty historycznej. Z pomocą przyjdzie nam estetyka, która dostarczy środków pozwalających uratować historiografię przed podwójnym niebezpieczeństwem relatywizmu i irracjonalności.

## 5. Pochwała subiektywności

I tak doszliśmy do ostatniej części niniejszego wywodu. Zgodzimy się wszyscy, że w narracji historycznej można odnaleźć wszystkie trzy wspomniane wcześniej odmiany dyskursu: po pierwsze, stanowi ona *reprezentację* przeszłości, po drugie reprezentacja ta składa się z *prawdziwych twierdzeń* o określonym ładunku poznawczym, i wreszcie po trzecie, *reguły etyczne i wartości* współkształtują opis przeszłości proponowany przez historyka, choć może się to przejawiać w różny, raz bardziej, raz mniej widoczny sposób.<sup>12</sup>

Do tej pory większość opracowań traktujących o „subiektywności” historycznej koncentrowała się na wzajemnym oddziaływaniu – lub też rywalizacji – treści poznawczych i moralnych w pismach historycznych. Nic dziwnego, że treści te najczęściej sobie zawadzają, skoro ten sam reżym filozoficzny, który odwrócił makiawelską relację między dyskursem historycznym i politycznym z jednej stro-

ny, oraz dyskursem poznawczym i moralnym z drugiej, wprowadził również rozróżnienie między bytem i powinnością. W konsekwencji rozpadła się ścisła współzależność myśli i działania, elementu poznawczego i normatywnego. Ich pierwotna jedność ustąpiła miejsca dwóm modelom formalno-poznawczym: jednemu dla myśli, innemu dla nauki o postępowaniu etycznym. Nawet Kant uważał rozróżnienie między bytem i powinnością za niepodważalną prawdę, jakkolwiek umiłowanie filozoficznej symetrii natchnęło go – jak żadnego innego filozofa przed albo po nim – do wykrycia jak największej liczby analogii między obydwoma modelami. Wspólny obszar historii i polityki został podzielony między nauki społeczne z jednej, etykę z drugiej strony.<sup>13</sup> Tak więc dla postkantowskiego filozofa potencjalny konflikt między dyskursem poznawczym i normatywnym stał się oczywistym źródłem obaw związanych z historiografią. Jak wiemy, neokantyści z końca ubiegłego i początku obecnego wieku widzieli w tym potencjalnym konflikcie najważniejszy i najbardziej palący problem całej myśli historiozoficznej. W ten sposób odwrócenie makiawelskiej relacji między dyskursem historycznym i politycznym z jednej strony, oraz między dyskursem poznawczym i normatywnym z drugiej, przyczyniło się znacząco do niskiego prestiżu dyskursu historycznego i politycznego w intelektualnej aurze modernizmu. Tak jak terytorium nieszczonej Belgii służyło Francji i Niemcom do nieustannych starć wojennych, tak historię zaczęto odtąd postrzegać jako ulubione pole walki w ciągłej wojnie między faktem i wartością. Naturalnie nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tu mieszkać. Pecha miał biedny historyk, że niczego nie podejrzewając wybudował sobie dom na tym nękanym wojnami obszarze.

Powyższe spostrzeżenie zmusza nas do przywrócenia właściwego porządku rzeczy. Powinniśmy uświadomić sobie, że dyskurs narracyjny oraz tworzone w jego ramach konkretne propozycje reprezentacji mają logiczne pierwszeństwo nad dyskursem poznawczym i normatywnym. W tym świetle „prywatna wojna” między dyskursem poznawczym i normatywnym – która tak bardzo zajmowała neokantystów – nabiera drugorzędного znaczenia. Na pierwszy plan wysuwa się spostrzeżenie, że kryteria estetyczne umożliwiające ocenę reprezentacji historycznych wyprzedzają, z logicznego punktu widzenia, kryteria stosowane do oceny dyskursu poznawczego i normatywnego. Reprezentacji narracyjnej nie należy oceniać przy użyciu kryteriów dyskursu poznawczego i normatywnego – przeciwnie, estetyczne kryteria oceny reprezentacji pozwolą nam ustalić wkład dyskursu poznawczego i normatywnego do reprezentacji historycznych. Gdzie indziej podjąłem próbę definicji owych kryteriów estetycznych. Po pierwsze, nie istnieje żaden aprioryczny schemat, który pozwalałby określić, na ile udane są poszczególne reprezentacje narracyjne: powodzenie danej reprezentacji jest zawsze kwestią wyboru spośród różnych konkurencyjnych narracji. Porównuje się narracyjne reprezentacje przeszłości *między sobą*, nie zaś poszczególne reprezentacje narracyjne *z przeszłością jako taką* (tzn. z sytuacją opisaną pojedynczym prawdziwym twierdzeniem). Zgodnie z tą obserwacją, im więcej reprezentacji mamy do dyspozycji, tym skuteczniej możemy je między sobą porównywać oraz szacować ich względ-

ne zalety. Gdybyśmy dysponowali tylko *jedną* reprezentacją danego fragmentu przeszłości, nie mielibyśmy żadnych podstaw, aby ocenić jej zakres. Ponadto rozpatrując porównywalne narracje historyczne, musimy zadać sobie pytanie, która z nich ma największy zakres, która obejmuje najszerszy fragment rzeczywistości. Po drugie, ta reprezentacja przeszłości, która jest najbardziej ryzykowna i najmniej prawdopodobna w oparciu o istniejącą wiedzę historyczną, której jednak *nie można* na tej samej podstawie odrzucić, jest reprezentacją o największym zakresie. Chciałbym w tym miejscu podkreślić, że powyższe zasady oceny reprezentacji historycznych nie zawierają elementów *normatywnych*, nie odwołują się do żadnych norm czy wzorców etycznych.

Czytelnik spostrzegł zapewne uderzające podobieństwo omawianych kryteriów estetycznych do Popperowskiej metody weryfikacji teorii naukowych. Popper podważył lansowany przez logikę pozytywistyczną pogląd, że najlepsza teoria to ta, która jest niemal na pewno zgodna z prawdą, ta o najwyższym stopniu prawdopodobieństwa. Zgodnie z tym założeniem, zdania typu „jutro będzie padać deszcz, albo nie” musiałyby urastać do rangi ideału prawdy naukowej.<sup>14</sup> Tymczasem „teoria” ta – właśnie dlatego, że jest wysoce prawdopodobna i żadne fakty dnia jutrzejszego nie mogą jej zaprzeczyć – pozbawiona jest wszelkiej „treści empirycznej” i nie przekazuje żadnych użytecznych informacji o świecie. A zatem tylko wówczas, gdy gotowi jesteśmy podjąć ryzyko związane z naszą teorią, *oddalić się* od prawdopodobieństwa – tylko wówczas możemy osiągnąć maksymalną zawartość „treści empirycznej” i zdobyć znaczące informacje o istocie doświadczalnej rzeczywistości. „Hipotezy są jak sieci: tylko ten, kto je zarzuca, ma szansę coś złapać,” powiada Popper w motcie do swojej słynnej pracy, cytując Novalisa. Jak widać, dużą część Popperowskiego wywodu o maksymalizacji empirycznej treści teorii naukowych z powodzeniem można odnieść do zasad ewaluacji historycznych reprezentacji przeszłości.<sup>15</sup>

Z tej perspektywy kryteria oceny reprezentacji historycznych mogą na pierwszy rzut oka wydawać się bliższe kryteriom prawdy poznawczej aniżeli kryteriom doskonałości estetycznej (bądź też etycznej poprawności). Ponieważ jednak na tym poziomie rozważań nawet w nauce wychodzimy poza dziedzinę prawdy poznawczej w pierwotnym, właściwym znaczeniu tego słowa – jako że o teoriach naukowych nie można w zasadzie powiedzieć, że są „prawdziwe”, tylko „wiarygodne”, „lepsze od konkurencyjnych teorii”, albo w najlepszym razie „zbliżone do Prawdy” – można domniemywać, że zaproponowana przez Poppera metoda weryfikacji teorii naukowych należy raczej do sfery estetyki niż pewności poznawczej. W ostateczności jest to zapewne kwestia strategii filozoficznej, a nie prawdy absolutnej. Można, na przykład, odejść jak najdalej od (danej) prawdy poznawczej (zawartej w pojedynczym zdaniu prawdziwym) w stronę naukowej wiarygodności – taką właśnie strategię stosuje się niemal powszechnie zarówno w filozofii nauki, jak i w historiozofii. Ale można także, zgodnie z naszym postulatem, pójść w przeciwnym kierunku, żeby sprawdzić, co można osiągnąć rozpatrując wiarygodność teorii naukowych oraz cechy udanych reprezentacji histo-

rycznych przez pryzmat estetyki. Wystarczy jedynie obdarzyć estetykę nieco większym niż zwykle zaufaniem, aby dostrzec zalety tej drugiej strategii, bo dzięki niej zasadne może się okazać przypuszczenie, że koniec końców nauka i historia spotykają się na gruncie estetyki.

Tak czy inaczej, w niniejszej pracy powstrzymam się od dalszych rozważań na temat wspomnianych przed chwilą estetycznych kryteriów oceny reprezentacji. Dla mojego wywodu ważniejsza jest konstatacja, że kryteria te (jakkolwiek zdefiniowane i wyrażone) wyprzedzają z logicznego punktu widzenia kryteria, które można by zastosować do oceny dyskursu poznawczego i normatywnego, oraz że są od nich niezależne. I tak dochodzę do głównej, dość zaskakującej tezy niniejszej rozprawy, która głosi, że dyskurs narracyjny bądź historyczny jest najlepszym punktem odniesienia, gdy chodzi o wybór najwłaściwszych norm politycznych i moralnych. Inaczej mówiąc, wybór określonego działania politycznego lub etycznego może zasadzać się na wcześniejszym ustaleniu, które reprezentacje historyczne uważamy za najlepsze i jakie normy polityczne i moralne są w nich eksponowane. Zgodnie z tą metodą powinniśmy wybierać te wartości polityczne i moralne, które stały się źródłem najbardziej udanych i wyrazistych reprezentacji przeszłości. Chyba mało który historyk będzie miał wątpliwości co do tego, że opis Rewolucji Francuskiej pióra de Tocqueville'a przewyższa ten przekazany nam przez Micheleta. Możemy uznać to za mocny argument na korzyść wartości liberalnego indywidualizmu widocznych w pracy Tocqueville'a oraz przeciwko wartościom lewicowego liberalizmu eksponowanym w *Histoire de la Revolution française* Micheleta. Jeżeli ponadto porównanie innych relacji historycznych przyniesie podobne rezultaty, mamy pełne prawo uważać to za przekonujący, a nawet decydujący argument na korzyść liberalnego indywidualizmu i przeciwko lewicowemu liberalizmowi.

A zatem właśnie w historiografii, nie zaś w racjonalistycznych, apriorycznych wywodach wszelakiego typu, odnajdziemy najbardziej niezawodne narzędzie doboru właściwych wartości politycznych i moralnych. Literatura historyczna to swego rodzaju ogród doświadczalny, w którym możemy wypróbowywać różne wartości polityczne i moralne, podczas gdy kryteria estetyczne pozwalają nam ocenić względne wady i zalety poszczególnych reprezentacji. Powinniśmy być wdzięczni historiografii za taki ogród, ponieważ dzięki niemu możemy unikać nieszczęść, na jakie bylibyśmy narażeni, gdybyśmy musieli sprawdzać wady i zalety różnych norm etycznych i politycznych w praktyce społeczno-politycznej. Zanim wzniesimy rewolucję w imię jakiegoś ideału politycznego, powinniśmy najpierw ocenić – na tyle dokładnie i bezstronnie, na ile jest to możliwe – wady i zalety dzieł historycznych zainspirowanych tym ideałem. Żeby pokazać, w jaki sposób historia może potwierdzić albo podważyć normy etyczne lub polityczne, posłużmy się wymownym przykładem „rewizjonistycznej”, tj. antyamerykańskiej interpretacji Zimnej Wojny. Rewizjonista Gabriel Kolko zrezygnował w końcu ze swojej postawy, ponieważ chcąc nie chcąc musiał przyznać, że tradycyjny pogląd na Zimną Wojnę okazał się w ostatecznym rozrachunku daleko bardziej przekonujący

i pojemny. Tak oto w rozwoju myśli jednego historyka estetyczne kryteria oceny reprezentacji wymusiły na nim zarzucenie pewnego zbioru norm politycznych na rzecz innego. Estetyka wzięła górę nad etyką.

Właśnie dlatego, konkludując, powinniśmy głosić pochwałę subiektywności, zamiast wymagać od historyka, aby przystępując do pracy odsuwał na bok swoje przekonania moralne i polityczne. Przywiązanie do wartości moralnych i politycznych często owocuje tekstami historycznymi, które dają nam najlepszą orientację w teraźniejszości oraz na przyszłość. Wystarczy przywołać prace takich autorów, jak Jakob Talmon, Isaiah Berlin czy Karl Friedriech, przesiąknięte ideami liberalnej demokracji oraz bezkompromisową krytyką totalitaryzmu, aby zrozumieć, że subiektywność nie musi w każdej bez wyjątku sytuacji oznaczać najgorszej wady dziejopisarstwa. Wręcz przeciwnie – równie dobrze można utrzymywać, że każde naprawdę ważne dzieło historyczne wymaga oparcia w pewnych normach moralnych i politycznych. Jak dobitnie ujął to niegdyś brytyjski historyk Michael Howard, „książki rodzą się z uprzedzeń”.<sup>16</sup>

Co ważniejsze, tekst historyczny, z którego wymazano wszelkie ślady norm moralnych i politycznych, nie może służyć nam pomocą w kluczowym dziele rozróżnienia pozytywnych i negatywnych wartości moralno-politycznych. Sama znajomość przeszłości jest bez wątpienia bardzo istotna, ale być może nie mniej ważna jest świadomość właściwych wartości etycznych i politycznych. Tekst historyczny, który usiłuje (jakkolwiek nadaremnie) omijać wszelkie normy moralne i polityczne, w poważnym stopniu umniejsza zarówno naszą wiedzę historyczną, jak i naszą orientację w teraźniejszości i na przyszłość. Zamiast uważać subiektywność w historiografii za grzech śmiertelny, powinniśmy raczej uznać jej konieczny wkład w stan naszej wiedzy o przeszłości oraz w obecną i przyszłą praktykę polityczną.

Tę część swojego eseju pragnę zakończyć komentarzem terminologicznym na temat zdefiniowanej w poprzednich częściach polityki oraz omawianych przed chwilą wartości politycznych. W poprzedniej części polityka wykazywała ściśle powiązania z historią: stwierdziliśmy, że w świetle logiki obie mają charakter propozycji. Natomiast w tej części omawiałem normy moralne i polityczne bez ich dokładniejszego rozróżnienia, sugerując tym, że dyskurs polityczny należy raczej kojarzyć z dyskursem poznawczym i moralnym, ten zaś przeciwstawiłem wcześniej historii i polityce. Ta dwuznaczność wynika stąd, że polityka wiąże się zarówno z dyskursem historycznym, jak i z etyką. Z jednej bowiem strony, polityk musi odnaleźć się w skomplikowanej rzeczywistości politycznej, tak samo jak historyk poszukuje najlepszego ujęcia złożonego obrazu przeszłości, a synteza, do której dąży historyk, jest jednocześnie koniecznym warunkiem wszelkiej sensownej działalności politycznej. Bez minimum zrozumienia kontekstu historycznego, w którym porusza się polityk, jego działalność musi mieć katastrofalne skutki.<sup>17</sup> Z drugiej jednak strony, w swoim postępowaniu polityk respektuje (albo stosuje) pewne wartości moralne wynikające z obranej ideologii politycznej. Na przykład przekonanie, że powinien działać na rzecz politycznej równości bądź

w interesie pewnej grupy społecznej, może kierować jego działaniem i uzasadniać większość jego decyzji politycznych.

Te polityczne i moralne wartości wywiedzione z ideologii mogą, jak wiadomo, odgrywać istotną rolę w opisywaniu dziejów, wystarczy wskazać na społeczno-gospodarczą historię inspirowaną ideologią marksistowską lub socjalistyczną. O ile jednak polityk użyje takich wartości *normatywnie*, historyk wykorzysta je *poznawczo*, odkrywając w nich dodatkowe narzędzie rozumienia przeszłości. Historia społeczno-gospodarcza (albo, dajmy na to, historia własnego narodu) może nam pokazać, w jaki sposób historyk potrafi wykorzystać takie wartości poznawczo. Dlatego omawiając wyżej rolę dyskursu poznawczego, łączyliśmy go głównie z ideologicznie motywowanymi sposobami przyporządkowywania realiów historycznych do narracji historycznej. Taką zwykle postać przybiera w kontekście historiografii epistemologiczna kwestia, jak należy wiązać rzeczy ze słowami.

Rzecz jasna, nie zmienia to zasadniczo nakreślonego wyżej obrazu logicznej hierarchii między dyskursem narracji lub reprezentacji, dyskursem normatywnym oraz szczególną odmianą dyskursu politycznego, omawianego w tym momencie. Można oczekiwać, że dyskurs reprezentacji narracyjnej oraz estetyczne kryteria jego oceny okażą się nie mniej odpowiednie do weryfikacji wartości politycznych tego rodzaju, niż w przypadku dyskursu etycznego *sensu stricto*.

## 6. Konkluzja

Pora na wnioski. Na początku niniejszego eseju ustaliliśmy, na czym naprawdę polega problem historycznej subiektywności. Nie na tym – jak się powszechnie uważa – że obecność norm etycznych i politycznych w tekstach historycznych wprowadza element całkowicie obcy przedmiotowi badań historii i w efekcie może znacząco zniekształcić prawdziwy obraz przeszłości. Wręcz przeciwnie, problem w tym, że rzeczywistość historyczna oraz wartości etyczne i polityczne wyznawane przez historyka zbliżają się do siebie niepomniernie, tak iż trudno je rozróżnić. Można stąd wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, podobnie jak linia konstrukcyjna w geometrii może pomóc w rozwiązaniu zadania, jeśli potraktuje się ją w założeniu jako część samego zadania, tak normy etyczne i polityczne, z natury rzeczy powiązane z przedmiotem badań historii, zamiast przeszkadzać mogą nam w istocie pomóc w lepszym zrozumieniu przeszłości. Nie wahałbym się nawet stwierdzić, że wszelki prawdziwy postęp w dziejach historiografii wyrastał zawsze, w ten czy inny sposób, z norm etycznych lub politycznych świadomie bądź nieświadomie popieranym przez wielkich i renomowanych historyków przeszłości.

W epoce samochodu, telewizji i radia wszyscy doskonale wiemy, że to, co w pewnych warunkach wydaje się dobrodziejstwem, w innych może okazać się dopustem bożym. To samo można powiedzieć o wartościach etycznych i politycznych w literaturze historycznej. Bywa, że przyczyniają się one niepomniernie do rozwoju wiedzy historycznej, kiedy indziej jednak okazują się skuteczną, niepokonaną przeszkodą na drodze ku historycznemu oświeceniu. Dzieje się tak dlate-

go, że wartości etyczne i polityczne (a w jeszcze większym stopniu poznawcze) są nierozdzielnie związane z historiografią i jako takie mogły zaowocować albo tym, co najlepsze albo tym, co najgorsze w dziejach tej dziedziny. Aby zachować wszystko, co najlepsze i odrzucić wszystko, co najgorsze, należy – jak staraliśmy się dowieść – skonstruować coś w rodzaju filozoficznego mikroskopu, który pozwoliłby nam zbadać szczegółowo, jakie procesy zachodzą w miejscu, gdzie spotykają się i przecinają najsubtelniejsze warstwy dyskursu historycznego i etyczno-politycznego. Uznaliśmy, że takiego filozoficznego mikroskopu dostarczy nam teoria opisująca istotę reprezentacji historycznej.

Przyjrząwszy się historiografii przez mikroskop reprezentacji historycznej, odkryliśmy logiczne pierwszeństwo estetycznych kryteriów oceny reprezentacji nad kryteriami poprawności etycznej i politycznej. Wypływa stąd jeden pocieszający wniosek: możemy ufać, że historia nauczy się z biegiem czasu odpowiednio traktować wartości etyczne i polityczne, a nawet wykorzystywać je do własnych celów.

Odkryliśmy również, że możemy bez obaw powierzyć historii niezmiernie ważne i odpowiedzialne zadanie odróżnienia właściwych wartości moralnych i politycznych od niewłaściwych. Jest to zadanie, które historia może wykonać należycie jedynie pod warunkiem, że nie przestraszy nas ewidentna obecność tych wartości w literaturze historycznej. Nie musimy się tej obecności obawiać, gdyż estetyka jest silniejszym partnerem w relacji między kryteriami sukcesu estetycznego a kryteriami poprawności etycznej, politycznej czy poznawczej. Istnieje tylko jeden kluczowy wyjątek od tej reguły: estetyka może spełniać tę funkcję jedynie wówczas, gdy zagwarantowana jest całkowita i bezwarunkowa swoboda wypowiedzi i debaty historycznej. Ten wymóg moralny jest zatem warunkiem *sine qua non* wszystkiego, co postuluję w niniejszej pracy. Jednak pomimo nadrzędnej roli, jaką przypisuję tej jednej wartości moralnej, nie stoi ona w sprzeczności z moim wcześniejszym argumentem o wyższości reżymu estetycznego nad reżymem poznawczym i normatywnym, bo choć wartość ta zapewnia konieczną *wielość* reprezentacji narracyjnych, nie precyzuje wcale, jak należy je *oceniać*.

Przełożył Tomasz Sikora

## Przypisy

<sup>1</sup> Cytuję za F. Wagner, *Geschichtswissenschaft*, Monachium, 1951, s. 34.

<sup>2</sup> Patrz W. H. Walsh, *An Introduction to Philosophy of History*, Londyn, 1967, s. 93–117.

<sup>3</sup> A. Danto, *Analytical Philosophy of History*, Cambridge, 1968, s. 98.

<sup>4</sup> Najpoważniejszym rywalem tej teorii jest teoria reprezentacji przez podobieństwo. Omówienie względnych zalet obydwu teorii czytelnik znajdzie w moim eseju pt. „Danto on representation, identity and indiscernibles” w tomie *History and Theory* (w przygotowaniu).

<sup>5</sup> Patrz F. R. Ankersmit, „Danto on representation, identity and indiscernibles”.

<sup>6</sup> F. R. Ankersmit, *History and Tropology*, Berkeley, 1994, s. 88–94.

<sup>7</sup> A. C. Danto, *The Transfiguration of the Common Place*, Cambridge (MA), 1983, s. 81.

<sup>8</sup> Według światopoglądu XIX-wiecznego historycyzmu (nie mylić z historycyzmem Poppera), istota narodu, tradycji kulturowej bądź intelektualnej itp. zawiera się w ich historii. Rzecz jest tożsama ze swoją historią.

<sup>9</sup> Nie jest to, oczywiście, idealizm. Reprezentacja nie stwarza w rzeczywistości tego, co reprezentuje, lecz jedynie definiuje daną rzecz, albo – jak zobaczymy za chwilę – proponuje, jak należy ją definiować. Takie propozycje są niezbędne do zrozumienia świata, bez nich bowiem rzeczywistość pozostawałaby dla nas niedostępna niczym dobrze chroniona kasa pancerna dla potencjalnego włamywacza.

<sup>10</sup> Na temat związku między polityką i etyką patrz F. R. Ankersmit, *Aesthetic Politics: Political Philosophy Beyond Fact and Value*, Stanford, 1997, „Introduction. Against Ethics”.

<sup>11</sup> Kwestia ta jest szeroko omówiona w S. Friedlander, ed., *Probing the Limits of Representation*, Cambridge (MA), 1992.

<sup>12</sup> Zobacz też S. G. Crowell (scrowell@brynmawr.edu), „Mixed messages: the heterogeneity of historical discourse” (w przygotowaniu): „twierdzę, że narracja historyczna (w przeciwieństwie do narracji literackiej) z konieczności zakłada połączenie (przynajmniej) dwóch «heterogenicznych» gier językowych lub dyskursów, z których każdy ma swój własny cel, a mianowicie dyskursu poznawczego i normatywnego; stwarza to trudny problem filozoficzny, ponieważ najpierw trzeba ustalić, co jest «stawką w grze» danego dyskursu, aby potem móc znaleźć odpowiednie kryteria jego oceny.”

<sup>13</sup> Analizę tę komplikuje jednak tradycja filozofii praw naturalnych, która aż do końca XVIII w. łączyła w sobie to, co później zostało rozbite na sferę poznawczą i normatywną.

<sup>14</sup> K. R. Popper, *The Logic of Scientific Discovery*, Londyn, 1972, s. 41.

<sup>15</sup> F. R. Ankersmit, *Narrative Logic*, Haga, 1983, s. 239 i następne.

<sup>16</sup> M. Howard, „Lords of Destruction”, *Times Literary Supplement*, 12 listopada 1981, s. 1323.

<sup>17</sup> Taką zamianę etyki na historię jako naszego głównego przewodnika w działalności politycznej zalecał już Machiavelli, według którego zło polityczne wyływa nie tylko „ze słabości, w jaką wpędziła świat współczesna religia”, ale może przede wszystkim „z braku prawdziwej znajomości relacji historycznych, z niemożności wydobycia z nich poprzez lekturę owego sensu, owego smaku, który w sobie zawierają”. Patrz N. Machiavelli, *Discourses on Livy*. Przeł. Harvey C. Mansfield i Nathan Tarcov, Chicago, 1996, s. 6. [Wyd. pol. pt. *Uwagi Machiawela wysnute z Liwiusza historii rzymskiej, 1874–77.*]